

— Trzeba będzie zawołać policyantów dla utrzymania porządku. — zauważył Bernardet — Inaczej uczynią tu formalne obłężenie.

Pani Moniche oczekiwała przy schodach, otoczona gronem lokatorów, którym po raz dwudziesty może opowiadała, jak wchodząc do mieszkania pana Roveré, zastała go już nieżywego, z okropną raną na szyi.

— Przyszedł mu przeczytać dziennik — mówiła — feljeton, który go bardzo interesował. Doszliśmy właśnie do miejsca, w którym baron wyzywa na pojedynek amerykańskiego pułkownika. Jeszcze wczoraj biedny człowiek mówił do mnie: „Chciałbym już wiedzieć, który z nich zginie w tym pojedynku”... Nie dowie się już, niestety, nigdy.

— Pani Moniche! — przerwał Bernardet — Czy nie miałaby pani postać kogo po komisarza i zawiadomić go o wypadku?

— Postać kogoś?

— Tak! — dodał Moniche — Pan Bernardet potrzebuje komisarza. To przecież nie trudne do zrozumienia.

— Komisarza? — powtórzyła pani Moniche — Rozumiem dobrze. A może, panie Bernardet, ja sama pobiegę po niego.

— Tylko niech pani uważa, otwierając bramę, aby tłum tu się nie wcisnął.

— Niech się pan nie obawia — odparła dozorczyń, rada z odegrania tak ważnej roli.

Podczas kiedy pani podążyła ku bramie wchodowej, Bernardet, za którym postępował Moniche, wstępował na schody wiodące na drugie piętro, nie troszcząc się bynajmniej o wysokiego, młodego człowieka, który tu przybył w celu zasięgnięcia pierwszych wiadomości dla swojego dziennika.

Kiedy znaleźli się już na drugim piętrze, Moniche otworzył drzwi mieszkania pana Roveré i stanął na boku, przepuszczając agenta, za którym wcisnął się reporter.

Bernardet widział go doskonale, ale na znaki oburzenia, dawane mu przez Moniche'a, odpowiedział dobrotliwie uśmiechając się:

— Zostawmy go w spokoju. I ten także żyć musi. Zresztą lubię, kiedy dzienniki zajmują się sprawami kryminalnymi. Wyrabia to jeszcze większe zainteresowanie u publiczności.

W przedpokoju, do którego weszli, nic nie zdradzało, że odegrał się tutaj tak niedawno dramat tajemniczy.

Ubrania i broń różnego rodzaju porozwieszane były po ścianach w najzupełniejszym porządku. Bernardet przechodząc, objął to wszystko szybkim spojrzeniem.

— To w salonie się stało — szepnął Moniche.

Jedna część drzwi salonu była otwarta i stanowiący w progu, Bernardet ujrzał na środku wielkiego dywanu, na którym czerniła się duża krwawa plama, wyciągnięte zwłoki pana Roveré, owinięte w obszerny szlafrok z niebieskiej wełny. Zmarły leżał pomiędzy dwoma oknami, wychodzącymi na bulwar Clichy. Zauważył to natychmiast agent i zdziwił się, jakim sposobem potrafiąco zamordować człowieka w jasny dzień prawie pod oczami przechodniów i w bliskości przejeżdżających automobilów i dorożek.

— Ten, który uczynił zamach, z pewnością być musiał. — zastanawiał się Bernardet — Z pewnością i niezwykle zuchwałym! Przysięgłbym, że to nie pierwsza jego sprawa.

Posunął się ostrożnie ku zwłokom, jak myśliwy tropiący zwierzynę i żywe spojrzenie jego biegało po przedmiotach otaczających zmarłego.

Gdyby nie rana otwarta na szyi, wydawałoby się mogło, że pan Roveré żyje jeszcze. Twarz miał bladą spokojną, tylko usta zaciśnięte zdradzały gniew i groźbę jakąś. Człowiek ten silny i szczupły musiał paść odważnie, przeklinając w chwili ostatniej swojego mordercę.

Strasza rana, rozciągająca się na jego szyi, tworzyła rodzaj krwawej, szerokiej opaski, odcinającej się żywo na tle długich, białych włosów.

Lecz najwięcej zainteresował Bernardeta, przyglądającego się od chwili badawczo i przenikliwie — wzrok zmarłego. Ten zwrok dziwny przykuł całą jego uwagę.

Widniała w nim groza jakaś strasza i walka, a przytem zdawało się, że te oczy szeroko otwarte i błyszczące wzywały pomocy jakiejs istoty niewidzialnej, i odnosiły się do niej z prośbą gorącą i błagalną, podczas kiedy usta usiłowały wymówić jakieś słowa przekleństwa czy groźby.

Oczy te przerażały wyrazem wściekłości i obłądnej trwogi. Zdawały się być nadmiernie rozszerzone i żywe jeszcze w tej śmiertelnej, bladej masce zamordowanego. Wyrażały one wzruszenie nieudzielne i bolesne. Patrząc w nie, Bernardet mimowoli pomyślał, że tu, w tym pokoju, na chwilę przed śmier-

cią zgładzonej ofiary musiał się odbyć dziwny pojedynek słów pomiędzy nią a jej mordercą. Ten wyraz szczególny musiał mieć zamordowany na długo przed śmiercią i pozostał bez zmiany, aż do chwili ostatniej.

Twarz Bernardeta przyoblała się w głęboką powagę i skupienie. Oczy zamordowanego pana Roveré były dla niego tajemniczym problemem, ciekawym do rozwiązania. Po chwili wzrok jego skierował się na ręce. Ręce pana Roveré były silnie skurczone, tak, jakgdyby w śmiertelnej walce czepiały się rozpaczliwie szyi i ubrania mordercy.

— Krew jest na paznogiach! — zauważył głośno Bernardet.

Asystujący mu reporter skwapliwie zanotował te słowa w przygotowanym notatniku. Mógł stworzyć z nich sensacyjny artykuł dla swojego dziennika.

I znowu spojrzenie agenta powróciło, przyciągnięte jakąś magnetyczną siłą, do oczu zmarłego.

— Ciekawe! Ciekawe! — wyszeptał, pochylając się nisko! — Zdaje mi się, że oczy te zatrzymały w sobie obraz straszny jakiś i groźny. A gdybym spróbował...

Urwał i powrócił do oględzin rąk. Dotknął je palcami — zimne były i sztywne.

Po jakimś czasie wyprostował się i ku zdziwieniu reportera, śledzącego wszystkie jego ruchy, wyciągnął z kieszeni rodzaj wstążki srebrnej, zwiniętej w kłębek i poprosił Moniche'a o przytrzymanie go, podczas kiedy sam przygotowywał przyniesiony ze sobą aparat.

— Przedewszystkiem — szepnął do siebie Bernardet — starajmy się zachować szczególny wyraz tego spojrzenia. Zamknijcie okiennice! Potrzebna mi jest ciemność zupełna!

Kiedy Moniche wykonał jego rozkaz, Bernardet odliczył kilka kroków i stanął z aparatem naprzeciw zwłok.

— Moniche! Zapalcie światło magnezyowe! — rzucił swojemu pomocnikowi — Czy macie przy sobie zapaliki?

— Nie! — odpowiedział zapytany.

— Leżą tam, na kominku! — odparł agent, którego bacznej uwadze nie uszedł sprzęt żaden znajdujący się w pokoju — Bez światła magnezyowego nie otrzymamy żadnego rezultatu. Kiedy powiem „już”, zapalcie Moniche prąd magnezyowy, a ja zrobię dwa lub trzy zdjęcia z twarzy zamordowanego. Zrozumieście mnie? Stańcie tu obok mnie, z lewej strony. Tak! Uwaga!

Bernardet chwilę w milczeniu nastawiał aparat, podczas kiedy reporter zawzięcie notował coś, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Już! — zawołał Bernardet.

Nagły snop oślepiającego światła rozświetlił pokój. Błada twarz pana Roveré wydała się bledszą jeszcze, a otaczające go przedmioty nabrały jakiegoś fantastycznego wyglądu.

— Powtórzmy raz jeszcze — odezwał się agent.

I po trzykroć w błyskawicznym tem oświeceniu twarz zmarłego ukazała się tajemnicza i pełna grozy. Krwawiąca rana pod szyją błysnęła czerwienią jeszcze purpurą, a oczy, te oczy powiększone i uporczywie patrzące, tragiczne i wymowne, te oczy przepełnione pogardą, nienawiścią, lękiem i przekleństwem, te oczy, w których zdawało się, że iskra życia nie zamarła jeszcze — w fantastycznym blasku magnezyowego światła, ożyły się jeszcze więcej, rzucając dzikie, piorunujące błyski w próżnię, tak jakgdyby tam zamierzdżyć kogoś chciały...

— No, teraz mam wielki atut w ręce — odezwał się spokojnie głosem Bernardet... Jeżeli z tych trzech zdjęć...

Przerwał i spojrzał szybko ku drzwiom. Ktoś do nich pukał natarczywie i śmiało.

— To komisarz — Moniche! Idź pan otworzyć!

Rzeczywiście był to komisarz dzielnicowy, któremu towarzyszyła pani Moniche. Za nimi cinęli się jacyś ludzie.

Przed wejściem do przedpokoju, komisarz zwrócił się do tłumy, który coraz gwałtowniej zalegał schody i pchał się brutalnie do mieszkania.

— Proszę się usunąć natychmiast — rozkazał stanowczym, donośnym głosem. Nikomu tu wchodzić nie wolno. Proszę panią nie wpuszczać tu nikogo. Wstęp wzbroniony!

Szmer niezadowolonych rozległ się między publicznością. Ludzie ci, przypędzeni tu niezdrową ciekawością i pragnieniem mocnych wrażeń, czuli się pokrzywdzeni i zawiedzeni.

— Ale my — panie komisarzu! Ale my — odezwały się pojedyncze głosy. — Do nas ten nakaz stosować się nie może! Jesteśmy dziennikarzami!

— Panowie dziennikarze wejść mogą za okaza-

niem swojej karty — odrzekł komisarz. Ale nikt więcej! Szmer niezadowolenia wzmógł się jeszcze.

— Nikt więcej — powtórzył surowo komisarz. Proszę o spokój!

Przywołał skinieniem dwóch agentów i kazał im stanąć przy drzwiach wiodących do mieszkania, nakazując im ścisłą kontrolę wpuszczonych osób, poczem sam wszedł do przedpokoju.

— Gdzie są zwłoki? — zapytał nadbiegającego Moniche'a.

— Leżą w pierwszym pokoju, tam, gdzie je znaleźliśmy.

Komisarz wszedł, szukając oczami Bernardeta, o którego obecności tutaj był już poinformowany przez panią Moniche.

Agent w służbowej postawie usunął się na bok, czekając na rozkazy swojego przełożonego.

Komisarz bez słowa przystąpił do zwłok i przyglądał im się z zajęciem. Wyraz twarzy zamordowanego zwrócił również jego uwagę.

— Bernardet — rzekł po chwili przywołując ruchem ręki agenta. — Czy nie zauważyłeś, że twarz ta dziwnie jest tragiczna i piękna. Widziałem wielu zamordowanych, ale tego niezwyczajnego wyrazu nie zdarzyło mi się nigdzie pochwycić.

— Tak jest, panie komisarzu — odparł Bernardet. — To ciekawe studium dla człowieka lubiącego odgadnąć zawile zagadki...

— Czy wiesz już co o mordercy?

— Nic jeszcze.

Pan Desbrières zwrócił się teraz do dozorczy domu i jego żony z zapytaniami, równocześnie badając spojrzeniem pokój cały.

— Kim był pan Roveré?

— Oh! panie komisarzu — odpowiedziała pani Moniche — to był najuczciwszy i najlepszy z naszych lokatorów. Nie mieliśmy mu nic nigdy do zarzucenia.

— Tak jest — potwierdził Moniche — to był dzielny człowiek.

— Nie chodzi mi o jego moralne zalety! — przerwał trochę niecierpliwie komisarz — Chcę wiedzieć, jak żył i kogo zazwyczaj przyjmował u siebie.

— Bardzo mało ludzi. — odpowiedział Moniche — Biedny pan lubiał samotność. Od ośmiu już lat był naszym lokatorem. Miał przyjaciół, ale bardzo mało i jak powiadam, nie przyjmował wiele.

— Skąd przybył pan Roveré, kiedy zamieszkał w tym domu?

— Nie wiem, panie komisarzu, podobno gdzieś z zagranicy. Pamiętam, że kiedy wprowadzał się do nas, uderzyła mnie wielka ilość książek i obrazów, które z sobą przywiózł. Pan Roveré sam zajmował się umieszczaniem tych obrazów po ścianach i układaniem książek w bibliotece. Mówiono o nim, że był niegdyś konsulem w Hiszpanii, czy też w Ameryce Południowej. Żył skromnie, chociaż uważaliśmy go wszyscy za bogatego człowieka.

— A czy był skąpym dla drugich? — zapytał komisarz.

— Oh! Wcale nie! — zaprzeczył Moniche — Był nawet bardzo wspaniałomyślnym, chociaż unikał ludzi.

— I nie przypominacie sobie, kto go najczęściej odwiedzał?

— Tak mało było tych osób. — rzekł Moniche — Lat temu cztery czy pięć widywaliśmy dosyć często jakąś panią. Przychodziła zawsze czarno ubrana i na twarzy miała gęstą zasłonę.

— Młoda była?

— Nie widziałem nigdy jej twarzy, ale z ruchów wydawała się być młodą.

— Jak zachowywał się względem niej pan Roveré.

— Odprowadzał ją z uszanowaniem aż na schody. Parę razy wyjeżdżał z nią powozem.

— Czem się zajmował dzień cały?

— W ostatnich czasach wychodził mało, bo czuł się słabym, ale dawniej codziennie udawał się na przechadzkę do lasku i po śniadaniu zamykał się w swojej bibliotece, gdzie pisał i czytał długo — potem znowu wychodził, ale wieczory spędzał zawsze w domu.

— Nie zdarzyło mu się nigdy powrócić o późnej godzinie — wtrąciła pani Moniche.

— Czy choroba pana Roveré była groźna?

— Wydawało się nam, że był bardziej chorym, niż sam chciał to przyznać. Kiedy powrócił raz z jakiegoś kąpielowego miejsca, zauważyli wszyscy w kamienicy, że był bardzo zmienionym. Od kilku miesięcy nie wychodził już wcale z pokoju i nie przyjmował nikogo oprócz swojego doktora. Spędzał dnie leżąc na kanapie, a moja żona czytała mu dzienniki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)